

dr Marta Miłoszewska
Wydział Reżyserii A.T.
20 grudnia 2014

TWÓRCZOŚĆ - od pasji do profesji

Zacznę od tego jak brak kartki, długopisu i miejsca postojowego zmienił życie Toma Waitsa. Ten znany i ceniony muzyk w początkach swojej kariery nie kontrolował napadów natchnienia. Pewnego dnia jechał pięciopasmową autostradą i nagle mały fragment piosenki pojawił się w jego głowie. Znikąd, tak jak nagłe inspiracje mają w zwyczaju. Od razu wiedział, że to coś świetnego i powinien po ten fragment „sięgnąć”, czym prędzej zapisać. ALE: właśnie pędził autostradą i nie miał jak. Nie miał papieru, nie miał długopisu, nie miał wolnej ręki. Dyktafonu też nie miał, no i oczywiście po horyzont żadnego miejsca postojowego. To go wkurzyło. Pomyślał: „stracę ten wiersz, stracę tę melodię, nie zapamiętam, a potem będzie mnie prześladowało do końca życia, że nie wykorzystałem okazji. A przecież NIE MAM JAK!!!”. Był gotów wpaść w panikę. Jednak zamiast tego, po prostu popatrzył w górę i głośno powiedział: „Przepraszam bardzo, ale czy nie widzisz, że prowadzę? Czy wyglądam jakbym mógł zapisać w tej chwili piosenkę? Jeśli naprawdę chcesz powstać, wróć kiedy okoliczności będą bardziej sprzyjające i kiedy BĘDĘ MÓGŁ się tobą zająć! A jak nie – idź zawracać głowę Leonardowi Cohenowi!!!”. Dziś Tom Waits mówi, że to małe wydarzenie całkowicie zmieniło jego podejście do procesu twórczego.

Nie do pracy i jej efektów, ale do samego procesu. Twierdzi, że to w tamtej chwili poczuł się wolny jako artysta.

Twórczość, tworzenie to nasz zawód, profesja. Ale uprawianie go traci sens, jeśli nie jest to również nasza życiowa pasja. Czasami udaje się nam zrobić coś genialnego i podziwianego. A czasami boimy się, że nam się nie uda, że to będzie porażka, nasza praca nikomu się nie spodoba i ludzie ją odrzucają. A nas razem z nią.

Co jest dość charakterystyczne dla naszego zawodu, bo przecież nikt nie pyta inżyniera budowlanego: „Przepraszam pana bardzo, ale czy nie boi się pan być inżynierem?”. Z drugiej strony, może inżynierowie budowlani jako grupa zawodowa nie zasłużyli sobie na opinię wpadających w emocjonalne chuśtawki, niepokoje czy uzależnienia – jak artyści. Czyli twórcy. Czyli my.

Czy tworzenie musi być procesem pochodzącym z cierpienia i emocjonalnych huśtawek? Tak naprawdę nasze – nie bójmy się wielkich słów – wewnętrzne bogactwo nosimy stale przy sobie, mamy doń cały czas dostęp. A twórczość to sięganie do tych zasobów, by tworzyć rzeczy ważne, piękne, ciekawe, niespodziewane. I sposobów na sięganie do tego źródła jest wiele. A „nieprzewidziany pocałunek muzy” nie jest jedyną metodą, na którą jesteśmy skazani.

Ale to prawda, że kiedy co roku we wrześniu dokonujemy procesu rekrutacji naszych studentów, mamy nadzieję, że uda się nam wyłuskać tych, do których muzy przychodzi częściej, niż do innych. Ale przy całej tej wierze myślę, że tu, w naszej – nazwijmy ją tak – „Akademii Umiejętności”, nie jesteśmy od tego, by uczyć biernego czekania na muzy. Lecz by efektywnie i efektownie wykorzystywać chwile oczekiwania na ich pocałunki.

Dla każdego artysty, niezależnie od dziedziny w której działa, znajomość rzemiosła jest warunkiem *sine qua non* formułowania wypowiedzi artystycznych. Jako widz, odbiorca oczekuję tego od ludzi, którym oddaję coś bardzo cennego – i nie, nie mówię tu o pieniądzach za bilet, choć i to nie bagatelne (jeżeli ktoś, kogo może na to nie stać poświęca 50 zł, żeby obcować z naszym dziełem, to zaciągamy poważne zobowiązanie). Ale mam na myśli coś ważniejszego – mój czas, parę godzin życia. I tej znajomości rzemiosła w jego wszystkich aspektach chciałabym móc oczekiwać od absolwentów szkół artystycznych, które z założenia są szkołami rzemieślniczymi.

Talentu, wrażliwości, mądrości, błyskotliwości nie można ani nauczyć, ani odebrać. Po prostu się je ma (lub nie), przychodząc do szkoły i będzie mieć (lub nie), po jej opuszczeniu, to elementy niewyuczalne. Ale rzemiosła artystycznego można się nauczyć, gdyż jest ono po prostu narzędziem. NICZYM WIĘCEJ, NICZYM MNIEJ. Znajomość rzemiosła nie jest dla artysty celem samym w sobie, jest środkiem do celu, którym jest rozwój i wyrażanie swojego talentu, światopoglądu i przede wszystkim: SIEBIE. Rzemiosło to – tylko i aż – materiałoznawstwo, znajomość tworzywa, w którym pracujemy. Mówiąc o talencie, geniuszu artysty, mówimy o nieprzewidywalnych pierwiastkach metafizycznych, ale mówiąc o rzemiośle mówimy po prostu o pracy, jaką twórca wykonuje, udoskonalając swoje umiejętności i dzieła. Innymi słowy – z całym szacunkiem dla Państwa uszu – o ciężkich, długich i męczących

dupogodzinach włożonych w doskonalenie siebie, swoich umiejętności i swojej pracy.

Każdy z nas był lub będzie w sytuacji, kiedy po marnym sukcesie lub efektywnej porażce dalsze poleganie wyłącznie na pocałunku muzy w czoło było lub będzie ryzykowne. I niebezpieczne, bo może nas albo sparaliżować, albo oszukać. W sumie to całkiem niezły powód, żeby zaczynać dzień od dżinu z tonikiem o 9 rano. A jednak, jeśli chcę pracować, wykonywać swoją pracę najlepiej jak potrafię –po zostaje pytanie: jak?.

W każdej twórczej pracy przychodzi taki moment, że zaczynamy myśleć, że nic z tego nie wyjdzie, że to będzie katastrofa, bo wszystko idzie źle i że właśnie robimy najgorszą rzecz w życiu. Nie po prostu niedobłą, czy złą, ale NAJGORSZĄ w życiu: najgorsze przestawienie, jakie kiedykolwiek powstało na świecie, najgorsze w dziejach teatru.

I pierwszą myślą jest wycofać się z tego przedsięwzięcia, rzucić je, zostawić!

Ale to, co możemy wtedy zrobić, to podnieść głowę i powiedzieć do powietrza nad głową: „Hej, jak mi nie wyjdzie, to nie będzie tylko moja wina. Ponieważ, jak widzisz, ja wykonuję swoją część roboty i daję z siebie wszystko. Więc jeśli chcesz żeby wyszło lepiej – musisz się pojawić i wykonać swoją część roboty. A jak się nie pojawisz i tego nie ulepszysz, to ja i tak będę robić swoje dalej. Bo to jest moja praca!”

Pomyślmy jeszcze na koniec o rytualnym tańcu plemiennym, w czasie którego tancerz wpada w trans i dotyka absolutu. Choć teoretycznie robi TO samo i TAK samo, jak zawsze, to nagle wszystko jest inaczej – jakby unosił się nad ziemią.

W arabskich plemionach w takich chwilach widzowie zaczynali skandować: „Allah, Allah” – czyli skandowali imię Boga. Mała dygresja: „Allah” w Hiszpanii przekształciło się w „Ole!” czyli „cudownie!”, „brawo!”. „Brawo!” czyli mgnienie Boga. Wracając do tancerza: w takich przypadkach ciężki może być następny ranek. Budzi się, jest poniedziałek, 9 rano, a on już nie jest przepelniony boskim tchnieniem. Jest starzejącym się śmiertelnikiem ze stawami kolanowymi w kiepskim stanie. I ze świadomością, że może już nigdy nie osiągnie tego stanu, nie wespnie się tak wysoko, i może już nikt nigdy nie będzie skandował imienia Boga patrząc na to, jak tańczy. I co ma teraz zrobić z resztą swojego życia?!

To jest bolesne, jedno z najtrudniejszych rozliczeń ze świadomością, z którą musi się zmierzyć każdy twórca. Z którym mierzy się każdy z nas, reżyserów.

I właśnie wtedy ratunkiem jest myśl: nie bój się, niech Cię to nie przeraża, nie blokuj się, po prostu RÓB swoją robotę. Jeśli tańczysz – tańcz, jeśli piszesz – pisz, jeśli reżyserujesz przedstawienie – reżyseruj przedstawienie. Jeśli będziesz to robić uczciwie, najlepiej jak potrafisz, może ta boska siła po raz kolejny – widząc twoje wysiłki – zdecyduje się pocałować cię w czoło. I wtedy: „Ole!”.

Myślę, mam nadzieję, i bardzo chcę wierzyć w to, że właśnie tego chcemy uczyć przyszłych reżyserów: żebyście wykonywali swoją część roboty z prostą miłością i szacunku do swojej pracy. Żebyście mieli upór i odwagę codziennie robić swoje. Żadna muza nas nie pocałuje, jeśli nie pokażemy jej, jak bardzo się staramy.